Robert Harling

STALOWE MAGNOLIE

Robert Harling

STALOWE MAGNOLIE
(STEEL MAGNOLIAS)

Przekład: Catherine Peebles, Andrzej Jakimiec

OBSADA:

TRUVY JONES — **MAŁGORZATA MACHOWSKA**
SHELBY EATENTON — **KATARZYNA KRZANOWSKA (gośc.)**
ANNELLE DUPUY-DESOTO — **DANUTA MALINOWSKA**
CLAIREE BELCHER — **MAGDALENA KUMOR**
M'LYNN EATENTON — **MARIA GÓRAL**
OUIER BOUDREAUX — **BEATA KOLAK**
SPEAKER (GŁOS) — **PRZEMYSŁAW TEJKOWSKI**

Reżyseria
JAN BŁESZYŃSKI

Scenografia
ANDRZEJ WITKOWSKI

Opracowanie muzyczne
ZBIGNIEW KRASNY

Inspicjent — Sufler
PAWEŁ PRZYBYŁA

Asystent reżysera
MAGDALENA KUMOR

Konsultacja fryzjerska
ZOFIA TARKOWSKA

PREMIERA — LISTOPAD 1995 R.

Państwowy Teatr im. Wandy Siemaszkowej w Rzeszowie, ul. Sokoła 7, tel./fax 327-48

Dyrektor Naczelny i Artystyczny
BOGDAN CIOSEK

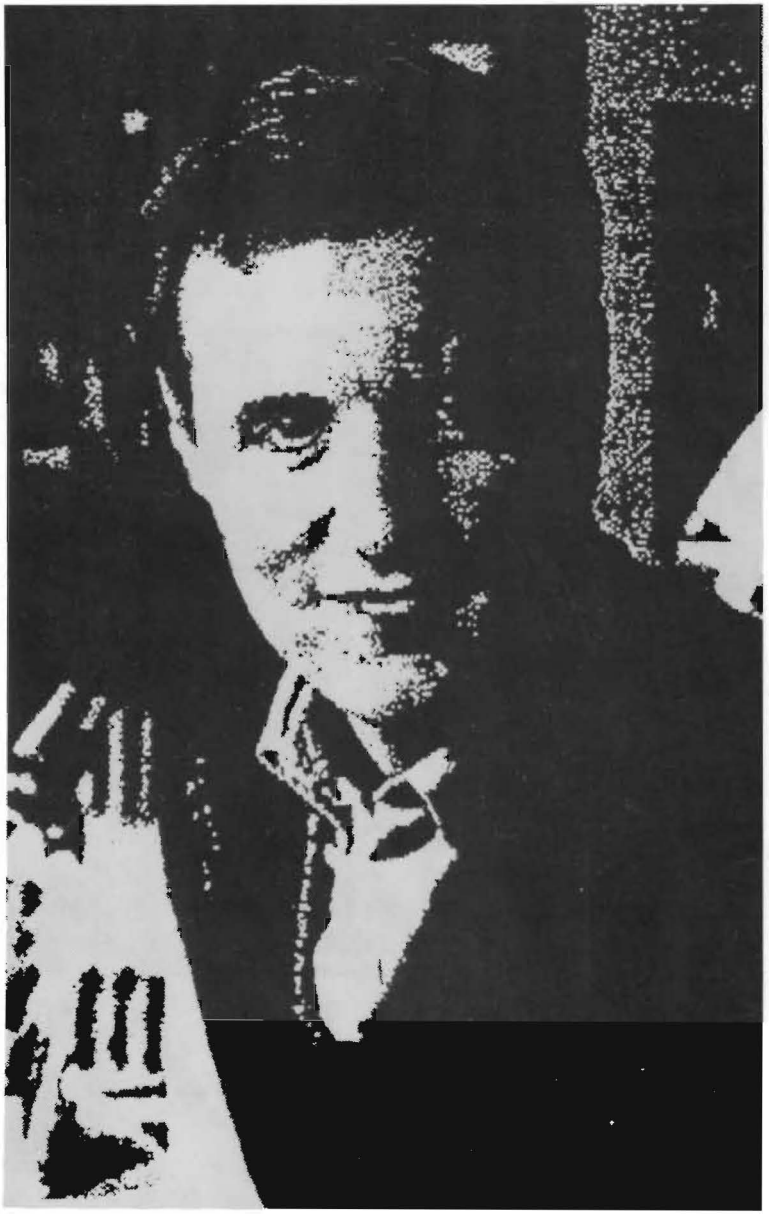

ROBERT HARLING

ROBERT HARLING —

autor szczytowego osiągnięcia w komedii opartej na tragedii rodzinnej.

Kiedy R. Harling rok temu zaanonsował, że napisał sztukę teatralną rodzice mieszkający w Luizjanie byli mocno nieukontentowani i zdziwieni. Młody nowojorski aktor nie szanujący przepisów i praw — ich syn nieumiejący zredagować nawet gazetki szkolnej autorem sztuki i to sztuki biograficznej o śmierci na cukrzycę trzydziestodwuletniej siostry w sześć miesięcy po jej śmierci? R. H. właściwie zawarł w tej sztuce całą prawdę o chorobie siostry a treść przełożył na język komediowy. „Nie wiedziałem jak na to zdarzenie zareaguje rodzina — powiedział R. H. Nie pisałem po to, żeby zadziwiać i wywoływać niesnaski w rodzinie. Chciałem przedstawić pewien obszar prawdy o kobietach. Z mojej Luizjany. I zrobiłem to". Właśnie *Stalowe magnolie,* „ciemny" komediodramat o sześciu kobietach z amerykańskiego południa, które spotykają się w miejscowym salonie piękności stał się niekłamanym sukcesem autora. Przez siedem miesięcy sztuka nie schodziła z afisza w teatrze off — Broadway grana przy kompletach widzów i entuzjaźmie krytyki. R. H. sprzedał prawa autorskie prywatnej agencji za znaczną sumę pieniędzy. Sztuką zainteresowała się Liz Taylor, a także wielka gwiazda Hollywoodu — Bette Davies, zapraszała autora na herbatkę zainteresowana rolą pani Truvy. Także wytwórnia Paramount zamówiła u R. H. dwa scenariusze. Ale najlepsze ze wszystkiego to fakt, że cała rodzina autora została usatysfakcjonowana i przywróciła do łask „marnotrawnego syna" po wielokrotnym obejrzeniu sztuki w Nowym Jorku.

A w młodości R. H. nigdy nie myślał o sobie jako o przyszłym pisarzu. Był studentem stanowego uniwersytetu w Luizjanie, studiował także w Szkole Prawa w Tulane. Tamże nie złożył na czas egzaminu i od tej pory imał się, jak to się mówi, różnych zajęć. W 1978 roku przyjechał do Nowego Jorku, gdzie pracował przy sprzedaży kurcząt z Centucky a także był oświetlaczem w prywatnej stacji TV. Zamierzał w końcu wrócić do rodzinnego Natchitouches ale tam właśnie jego zamężna siostra, zawodowa pielęgniarka na oddziale pediatrycznym, sama chora na cukrzycę, postanowiła wbrew zaleceniom lekarzy zajść w ciążę i urodzić własne dziecko. Jak wiadomo bowiem dzieci diabetyków mogą urodzić się zdrowe. Susan postanowiła właśnie urodzić kierując się słowami (które w sztuce wypowiada jej alter-ego Shelby) ...lepsze piętnaście minut cudu niż, niż jedno długie WIELKIE NIC. W lutym 1983 roku Susan urodziła zdrowego syna. Umarła niestety w 1985 roku. R. H. był przerażony i wściekły! Przyjaciele i znajomi radzili — opisz to — i tak właśnie zrobił. Często nagabywany dlaczego ze śmierci zrobił rzecz śmieszną — odpowiadał, że radość z chęci posiadania dziecka była bliska rozpaczy, że takie właśnie bywa prawdziwe życie. Obecnie R. H. po sukcesie finansowym *Magnolii* mieszka samotnie na Manhattanie, nie zamierza przenieść się do Hollywood — chce żyć po swojemu i robić to na co ma ochotę.

Wspomina siostrę, jej niezależność, humor, i poczucie osobistej wolności. „Poprzez chorobę mojej siostry, jej opisanie w sztuce teatralnej i grywanej na scenach teatrów, dostałem od losu szansę wyboru drogi życia, którą idę — i zawsze mogę do dawnego życia wrócić i powiedzieć — za wszystko DZIĘKUJĘ!"

KIM HUBBARD

Pierwsza sztuka Harlinga *Stalowe magnolie* dzieje się w pięknym salonie zakładu fryzjerskiego w Luizjanie gdzie miejscowe panie spotykają się żeby poplotkować, pofilozofować i wymienić poglądy na świat. Dzięki soczystemu i barwnemu językowi bohaterek, ukazywaniu różnych twarzy pod maską obojętności i obdarzonych wzniosłością, patosem i o paradoksie, błyskotliwym poczuciem humoru; Harling stanął w rzędzie pisarzy takich, jak np. BETH HENLEY; zaś Thomas M. DISH dostrzega w Harlingu oscylowanie między buffonadą a wzniosłością, co udaje się pisarzom wybitnym, godnym zazdrości. (...) Na początku piękny salon zakładu fryzjerskiego w małej Luizjanie, mieście dalekiego południa wydaje się niedorzeczny i pusty; ale jak tytułowe magnolie cechuje go siła i bogata wrażliwość tego małego, zewnętrznego świata. Harling obdarza swoje bohaterki ciętym i dowcipnym dialogiem: „czas jak wojsko maszeruje naprzód i razem z nim twoje dokonania a to wszystko widać w zmarszczkach twojej twarzy" — stwierdza jedna z bohaterek. Ale nie lokalne dowcipy i powiedzonka stanowią o wartości sztuki. Tę ostatnią stanowi niepokój i ustawicznie zmieniający się ruch tego małego światka. Harling genialnie kreuje uczucia tej małej społeczności kobiecej i obdarza bohaterki czasem refleksją, czasem ironią, ażeby zadziwić widza głębokim zrozumieniem kobiecej duszy i jej skomplikowanej wrażliwości.

H. KISSEL, *Daily News,* 1987 r.

W swojej pierwszej sztuce *Stalowe magnolie* Harling wprowadza nas do pięknego salonu fryzjerskiego pani Truvy. Widać na początku jak mocno i umiejętnie operuje realiami i obyczajowością a głównie atmosferą tego małomiasteczkowego zakładu.

Maria Góral jako Mary Tyrone w *Zmierzchu długiego dnia*, reż. B. Ciosek, prem. maj 1992 r.

MINĘŁY JAK MGNIENIE

Z MARIĄ GÓRAL rozmawia Jolanta Mroczek-Ciosek

25 lat pracy artystycznej na rzeszowskiej scenie skłania do wspomnień, refleksji i zamyślenia. Powspominajmy zatem, choć pokrótce, choć we fragmentach. Czy jesteś rodowitą rzeszowianką, że właśnie z tym miastem związałaś swe losy artystyczne?

Pochodzę z Ręczna, uroczego miejsca, blisko rzeki Pilicy, gdzie powietrze było, jest i wierzę, że zawsze pozostanie nieskażone, choć stamtąd niedaleko do Łodzi. Do tejże Łodzi powędrowałam do Technikum Handlowego, gdzie skończyłam Wydział Księgarski. Zaraz po jego ukończeniu przepracowałam rok w księgarni. Nie wykluczone, że zapowiadałam się na niezłego mola książkowego.

Czy chcesz zatem powiedzieć, jak większość aktorów, że Twoje aktorstwo to przypadek?

Nie, nie. To żaden przypadek. Pamiętam, że jeszcze jak byłam w szkole podstawowej, to ogłoszono jakiś konkurs, czy też rozpisano ankietę na temat, kto kim chciałby w życiu zostać i jaką szkołę ukończyć. I ja wówczas napisałam, że chciałabym skończyć szkołę aktorską. I o dziwo, przyszła na adres szkoły odpowiedź, iż jest takie miejsce w Łodzi. Kiedy nauczyciele to przeczytali, to oczywiście powstał okropny raban, że taka smarkula, a już ma wygórowane ambicje. Więc ja nikomu nic nie mówiąc, zwłaszcza rodzinie, schowałam tę cenną karteczkę i... zdałam do wspomnianego Technikum. Ponieważ zawsze interesowała mnie poezja, więc oczywiście należałam do rozmaitych kółek recytatorskich, „obsługując" wraz z koleżankami szkolne akademie. Zresztą robiłam to z dużą frajdą i radością. Muszę się nawet pochwalić pewnymi sukcesami — a jakże. Między innymi, zajęłam II miejsce w Konkursie Poezji Gałczyńskiego i pamiętam, że w nagrodę otrzymałam wycieczkę do Czechosłowacji, na którą zresztą nie pojechałam i do dzisiaj nie wiem dlaczego. Potem było III miejsce w Konkursie Recytatorskim we Wrocławiu i wiele, wiele innych, o których naprawdę trudno pamiętać. Tym bardziej, że pracując już w księgarni, również brałam udział w wielu imprezach recytatorskich, wyjazdowych, z czego mój szef bynajmniej nie był zadowolony. No i wreszcie nastąpił ten dzień, kiedy wzięłam urlop i pojechałam zdawać do Łodzi, do Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej — to był rok 1964.

Czy pamiętasz swój egzamin, czy towarzyszyły mu emocje, czy też była to raczej przygoda?

Potworne emocje, stresy, nerwy. Zobaczyłam wiele pięknych, młodych dziewcząt, bardzo pewnych siebie, że to właśnie one przejdą przez sito egzaminacyjne — więc pojawiła się nerwówka — co ja tu robię? Na pewno nie zdam. Stało się, ku mojemu zadowoleniu, inaczej i tak w 1969 r. ukończyłam szczęśliwie szkołę i byłam pełna zapału do pracy, żądna grania, grania i jeszcze raz grania. Otrzymałam angaż do Bydgoszczy i natychmiast tam pojechałam.

Do Bydgoszczy? Nie wolałaś czekać na „Wielkie Miasto", „Wielką Scenę", „Wielkiego Reżysera", choćby siedząc na przysłowiowej ławce rezerwowych, jak często robią to dzisiejsi absolwenci szkół teatralnych?

Nie, dlatego że zawsze uważałam i uważam, że dla aktora najważniejsze jest próbowanie i granie. Każdy sezon przestoju to jest artystyczne cofanie się. Aktor musi jak najwięcej pracować, szkolić swój warsztat, tylko wtedy może cokolwiek osiągnąć. A ponieważ dostałam bardzo interesujące propozycje artystyczne — zagrałam w „Zemście", „Ostrym dyżurze" i „Uciekła mi przepióreczka", oraz finansowe, co nie było bez znaczenia, to bez wahania przyjęłam tę propozycję. Choć byłam tam tylko sezon.

A jeden z recenzentów, po Twojej roli w „Przepióreczce" napisał: „Trzymajcie tę aktorkę, aby nam za wcześnie nie uciekła, jak ta przepióreczka".

A ja uciekłam. Do Rzeszowa i związałam się z tą sceną, której jestem wierna do tej pory.

A więc czas powspominać rzeszowskie początki. Od czego się zaczęło?

Jak zwykle w takich razach od zastępstwa. Był rok 1970, graliśmy „Dziś do ciebie przyjść nie mogę". Wspominam to przedstawienie z dużym rozrzewnieniem i sympatią. Bardzo dużo jeździliśmy z tym spektaklem, który był entuzjastycznie przyjmowany, publiczność najczęściej nagradzała nas oklaskami na stojąco, czesto płakała, my na scenie też płakaliśmy — krótko mówiąc, wiązało się z nim wiele wzruszeń. Natomiast pierwsza moja duża rola na rzeszowskiej scenie to Aniela w „Ślubach panieńskich". A potem cała masa większych i mniejszych ról, jak to w tym zawodzie bywa. Raz jeszcze zagrałam w „Przepióreczce", potem w „Janie Karolu Macieju Wścieklicy", „Edwardzie II", „Domu na niebiosach", „Freuda teorii snów". To ostatnie przedstawienie bardzo lubiłam, choć tak niewiele razy zostało zagrane. Potem był „Ambasador", „Pieszo". Mój Boże, czy to warto prowadzić taką statystykę?

Jestem daleka od statystyki, dlatego też chciałabym, abyśmy się skupiły na tych rolach, które miały, czy też mają dla Ciebie szczególne znaczenie artystyczne. Sądzę, że do takich należała „Maria Stuart" — Słowackiego?

O tak, na pewno. Choć nie miałam z niej dobrych recenzji, granie tego spektaklu sprawiało mi wiele przyjemności. To była bardzo ważna rola w moim życiu aktorskim, gdyż zamykała pewien etap artystyczny, ale i życiowy. Coś się skończyło, coś się zaczęło. Wraz z tą rolą weszłam w wiek, w którym aktorka zaczyna grać role kobiet dojrzałych, doświadczonych.

Czy mówisz o tym ze smutkiem, z żalem?

Wręcz przeciwnie. Zaczęłam zdobywać nowe doświadczenia aktorskie, artystyczne. Przecież to fascynujące. Stąd też wzięła się moja rola w „Rzeźni". Uwielbiałam ten spektakl. I tak się zastaniawiam, gdybym teraz, po latach, wróciła do tej roli, czy znalazłabym w niej coś nowego dla siebie? Nie wiem.

Bardzo ceniłam Twoją Matkę w „Rzeźni", jednak Pani Tyrone w „Zmierzchu długiego dnia" była dla mnie rolą dojrzalszą, głębszą, w której pokazałaś swoje nowe możliwości aktorskie, dotąd nieznane, które stały się bardzo wyraziste na tle talentu Edwarda Lubaszenki, partnerującego Ci w tym spektaklu.

To fakt, że ta rola była bardzo interesująca, choć ja prawdę powiedziawszy mam pewien niedosyt. Myślę, że nie do końca zgłębiłam tę postać. Może brak doświadczenia narkomanki, na szczęście w życiu, na nieszczęście dla roli spowodował, że nie do końca potrafiłam sobie poradzić z tą potworną komplikacją psychologiczną bohaterki.

Cały czas rozmawiamy o rolach, a przecież praca nad nimi nie odbywa się w samotności, lecz z kolegami, z reżyserem. Jaki typ pracy z reżyserem odpowiada Ci najbardziej?

Bardzo konkretny. Reżyser jest od teorii, ja od praktyki, choć nie lubię nadmiernego gadulstwa u reżyserów. Lubię konkret: uwaga i powtarzamy, od razu, uwaga i powtarzamy. Ale potrzebny mi jest margines wolności: reżyser rzuca hasło, sygnał, ja próbuję je wypełnić. Bo tak naprawdę, to ja uwielbiam próby, i to takie intensywne, że czuję jak mi pot cieknie po plecach. A przedstawienia? — to te pięć pierwszych, a potem, bo ja wiem, to już chyba rutyna.

I Ty to mówisz, która przed każdym wejściem na scenę drżysz jak przed premierą? Nie wierzę Ci w te pięć pierwszych ważnych przedstawień. Na każdym, nawet 60 spektaklu może zdarzyć się to „coś" między aktorem a publicznością, co powoduje, że nabierasz nowych sił i energii do grania.

Oczywiście, masz rację. Każdy spektakl jest inny, w każdy wkłada się najwięcej wysiłku i chce się zagrać najlepiej. Ale aktor to też człowiek, ma swoje lepsze i gorsze dni, i od tego też nieraz zależy jakość przedstawienia.

Swój jubileusz artystyczny obchodzisz w dość niecodzienny sposób, gdyż wprowadzasz na scenę debiutującą aktorkę, świeżo upieczoną absolwentkę krakowskiej PWST, która, nomen omen, gra Twoją sceniczną córkę.

Życzę Kasi, aby jej rzeszowski debiut, któremu ja poniekąd matkuję, stał się początkiem jej pięknej zawodowej kariery.

A ja życzę Tobie, Droga Jubilatko, w imieniu teatralnej rodziny „Siemaszków", aby te 25 lat, które jak powiedziałaś „minęły jak mgnienie", zaowocowały przynajmniej jedną taką rolą, o której będziesz mogła powiedzieć: NIE PRZEMIJAJ, TRWAJ, JESTEŚ TAK PIĘKNA!

Spektakl sponsorowany przez:

BIOCOM Sp. z o.o., 35-233 Rzeszów, ul. Lubelska 52, tel. 394-52
TERPOL S.A., 38-200 Sieradz, ul. Warecka 3, tel. 27-17-77
FARMACOM Sp z o.o., Kraków, ul. Mogilska 80, tel. 12-47-03
Przedsiębiorstwo Farmaceutyczne „POLFA" w Rzeszowie S.A. 35-959 Rzeszów, ul. Przemysłowa 2, tel. 622-599

Poznajemy, poza właścicielką, pilną asystentkę Annelle i cztery stałe klientki-bywalczynie tego zakładu. Widać w tym znawcę i bacznego obserwatora małej i śmiesznej rzeczywistości, gdzie na przestrzeni kilku lat, ludzie przychodzą i odchodzą a w oczekiwaniu na obsługę przerzucają lub wertują roczniki starych czasopism fryzjerskich, plotkują o sobie, sąsiadach i nie kryją przed sobą tajemnic. Jest to rodzaj wiwisekcji ich życia, ich działań i postaw. Ale właśnie w *Stalowych magnoliach* nie ma atmosfery stagnacji i nudy. Jest wola walki z mijającym czasem, potrzeba zmian i potrzeba działania.

Podczas oglądania sztuki przypominały mi się wczesne komedie Herba Shrinera, których akcja dzieje się naprzykład w sklepie z zabawkami, w starym domu, tak i tutaj iluzja rzeczywistości zakładu fryzjerskiego, realizm i prawda każe nam zapomnieć, że tutaj tylko myją głowy, obcinają włosy, kręcą loki i że to przecież teatr a nie rzeczywistość.

M. GUSSOW, *New York Post*, 1987 r.

Często mężczyźni piszą sztuki o kobietach lecz rezultat bywa nieprawdziwy, a zrozumienie subtelnej wrażliwości kobiecej fałszywe i śmieszne, wręcz paradoksalne. Hitherto — jedyny mężczyzna wiedział, co kobiety mówią i robią, że tam tylko się strzygą — o tym teraz wie najlepiej Harling a nie Hitherto. Autor śledzi losy i działania tych sześciu kobiet w salonie piękności pani Truvy, wydaje się, że jest specem nie tylko od fryzur, tego co na głowie, ale także znawcą tego, co w środku tej kobiecej głowy siedzi. Znawcą tego, co kobieta myśli, co czuje. Ponadto są tam wspaniałe typy kobiece. Np. pani Truvy — (jej motto to: ...nie ma nic piękniejszego nad piękno natury!). Także jej młodziutka pomocnica — słodkie i głupiutkie stworzonko, które nie wie czy jest już zamężna, czy nie. Jest wreszcie pani Clairee, miejscowa milionerka, arystokratka wypowiadająca duże i śmieszne dysertacje o leguminach. Są także inne panie, a także śmieszna M. L. Eatenton i jej córka Shelby: zaborcza, zadziorna i jak fontanna wyrzucająca z siebie pokłady zmiennych emocji. I jest wreszcie też Shelby chora na cukrzycę, Shelby, która pragnie urodzić, mimo choroby, własne dziecko — Shelby przeciwstawiająca się regułom świata. Cała sztuka jest nie tyle zabawna i bogata w akcję, ustawiczne dzianie się — głośna i rozedrgana — że jest często o jeden krok od TV reklamówek i opery mydlanej. Ale to porównanie nie zdaje egzaminu. Magnolie to głęboko czujące istoty, potrzebują piękna i prawdy, nie tylko na twarzy po kosmetycznym zabiegu.

J. SIMON, *New York Magazine*, 1987 r.

Przekład tekstów: BOLESŁAW WEROWSKI